

Jani na Szarszewska
ul. Grodziska 55/12

Torun 2 grudnia 1992

87-100 Toruń
Godło „Jani na”

ARCHIWUM WSKRODNIE II/2133/P

Ośrodek „Kanta”
w Poznaniu

Praca konkursowa - „Moje wysiedlenie”

15 marca 1940 r. ok. godz. 6⁰⁰ - ten radek
choć mam 79 lat zawsze będę panigłan.

Mieszkałam wraz z mężem i dwiema córkami
przy ulicy Mikołaja 22 w Smolnodawiu.
Starsza córka miała wówczas 2 lata, młodsza
zaledwie pięć tygodni.

Łomat do drzwi, hałas, stukot butów,
i ogromne przerażenie. Tak nas objęła olga
„Wysiedleni ludności polskiej”. Nie było czasu
na chwilę zastanowienia. Otrzymaliśmy
polecenie szybkiego ubrania (nie - ubiór dla dzieci,
koc, nieco oszczędności, parę pieluszek itp.
Cały nasz dobytek umiściliśmy w worku
ornieckim i to co nam sobie.

Zostaliśmy pognani wraz z innymi na dworzec
kolejowy i przewieziono nas do Poznania Głównego.
W czasie podróży nie wiedzieliśmy dokąd i w jakim
celu jesteśmy transportowani.

Z dworca poznańskiego kilkaset metrów
musieliśmy przejść do tzw. łagne.

-2-

Był to sporych rozmiarów barak z jedną kondygnacją przeznaczoną na wjazd i wyjazd pociągów i pierwsze piętro przeznaczone dla nas wysiedleńców. Było to typowy magazyn sporych rozmiarów. Chyba lokomotywownia.

Było nas tam wszystkich około 200 osób. Przed wszystkim mieszkańcy Inowrocławia. Spotkaliśmy znajomych p. Tenglenów z dwójką małych chłopców (jeden ok. roku, drugi trzy lata) i parę osób karasewskich (4-5 osób). Moje byli tam i inni, ale tylko ich zapamiętałam. Czy żyją? Być może. Tego też nie wiem.

Cały teren łagroni był ogrodzony drutem kolczastym, pilnowali nas ubrojeni strażnicy. Za postawie służąca nam sioma, rzucana na podłogę, ścieżkami byliśmy jedni obok drugich.

Za ogrzewanie służyły dwa piece zwane popularnie „kozami”. Palono w nich „aś” dwa razy dziennie mimo ogromnego mrozu.

Na śniadanie otrzymywaliśmy kawałek suchego chleba i czarng kawę, na obiad - pół talerzyka zupy. Kolacja podobna do śniadania.

Swoją małą córeczkę karmiłam pierśią, co było możliwe dzięki ludołom dobrej woli, którzy mnie dobarmiali. Najgorzej było z praniem i suszeniem pieluch. Najpierw

je suszyłam na dronie, a dosuszałam na słońcu
Barcho cierpiałam, dziecko było kompletnie
odparzone, trudno było o utrzymanie czystości.

Po kilku dniach pokarm był już
nasyczony krwią, a mimo to karmiłam.
Sądziłam, że coreśko przeżyła tylko dzięki temu,
jak również dlatego, że pozwolono mi z domu
zabrać wózek, kocyk i poduszeczkę.

W końcu i mój organizm nie wytrzymał.
Zachorowałam, strajmie wyczerpana, z temperaturą
dochodzącą do 40°. Zostałam wraz z młodszym
dzieckiem skinowana do lazareckiego szpitala.
Był on zorganizowany na terenie łagrow
- opiekę nad nim sprawował lekarz-wysiedleriec.
Nie dostawałam żadnych leków, ale było
ciepło. I to nas wyratowało od niechybnej
śmierci. Takie mają i starsze coreśki
nie uniknęły chorób.

Rano i wieczorem w baraku trwały modlitwy,
modliliśmy się wszyscy.

W okresie naszego pobytu w lagrze
zmarło bardzo dużo dzieci i ludzi starszych.
Strach i niepewność towarzyszyły nam
przez całą drogę. Nie sądził by lagier
dużo odbiegał od niektórych obozów
koncentracyjnych.

Wyjątkowo okrutnie traktowani byli
pobytujący w lagrze Żydzi

Pewnego dnia przechodził doak wydzielonego
pomieszczenia dla żydów rzucał im kawałek
chleba. Powstał tumult i wielkie poruszenie.

Zbiegli się strażnicy. Jeden z nich wyelowił
we mnie karabin i trzymał mnie na muszce
przez kilka minut.

Tak niewiele brakowało, by za naruszenie
obowiązującego przepisu utracić życie.

15 maja 1940 r. niespodziewanie wiadomano
mas do bydlęcych wagonów. Po dwóch dobach
podróżowania znaleźliśmy się w Łukowie.
P. Fengersowie i Karaszewscy też „podróżowali”
razem z mamą.

W Łukowie oczekiwali na nas chłopcy
z furmankami. Łaczo „przychodzi” rodziny
poszczególne gospodarom. Porządek zajmowali np.
p. Kunański (sokty). My zostaliśmy skierowani
do p. Żurawskich w samym środku wsi Łuków.
Gospodarz muhał nas przyjąć. Odstąpili nam pokój
i sami właściciele (kilko osób) zajęli pokój
z kuchnią. Byli to ludzie nadzwyczajni.

Dostawialiśmy chleb, mleko, ziemniaki, a czasem
nawet kawałek mięsa. Jedzenia nam nie brakowało.
Co tydzień żądał nas obowiązkowo inny gospodarz.
Miejscami ludzie dodatkowo nas ubierali.

Ja zajmowałam się dziećmi, pomagałam
w dziełach, mąż pracował z gospodarzem w polu.
W Łukowie przebywaliśmy około 5 miesięcy.

Przez cały czas pobytu, co jakiś czas musieliśmy

meldować się w najbliższej ksiżni na mieście
posterunku.

Po wielu staraniach, za pomocą
znanego meża, otrzymaliśmy zgodę
na wyjazd do Warszawy.

Po szczególnym przebiegu Powstania Warszawskiego,
przedstawiliśmy się do Czystochony z pomocą
pobliższych nam łowców zajął.

A z Czystochony mieliśmy całą rodzinę
do wywołanego Inowrocławia.

Jamina

© POKRZYTO WŁASNOŚĆ

II/2133/P